

Konflikt malijski widziany z Algieru

15 marca 2013

Francuska interwencja w Mali niemal od razu wywołała dramatyczne reperkusje w Algierii. Krwawy atak na rafinerię w In Amenas uderzył w algierski rząd, który od miesięcy starał się zachować dystans wobec zachodnich planów zbrojnego zdławienia rebelii w malijskiej części Sahelu. Czy śmierć zagranicznych pracowników zmusi go do wysłania algierskich wojsk na terytorium sąsiada?

Oświadczenie Romana Prodiego, Specjalnego Wysłannika Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ) ds. Sahelu, wygłoszone pod koniec listopada 2012 r., stwierdzające, że interwencja wojskowa w północnym Mali nie będzie możliwa „przed wrześniem 2013 r.” (Liberté, 21 listopada 2012), zostało przyjęte w Algierze jako dobra wiadomość. Mało tego, jawiło się nawet jako zwycięstwo politycznego rozwiązania proponowanego przez rząd nad wojenną opcją, zalecaną przede wszystkim przez Francję. Ponadto, miało ono miejsce kilka dni po wypowiedzi generała Cartera Hama, szefa Afrykańskiego Dowództwa Wojsk USA (Africom), zgodnie z którą podejście „czysto wojskowe” w tym regionie byłoby skazane na niepowodzenie (Le Monde, 16 listopada 2012).

Jeszcze do niedawna sądzono, że takie deklaracje dają Algierii czas, aby doprowadzić do politycznego rozwiązania, bardzo chętnie w środowisku komentatorów przeciwstawianego planom Paryża, którego postawa, zdaniem wielu obserwatorów, jest zdeteminowana troską o złoża uranu w Sahelu.

I bez interwencji francuskiej położenie władz Algierii było „delikatne” od czasu przejęcia kontroli nad miastami w północnym Mali przez islamistyczne ugrupowanie Tuaregów Ansar al-Dine („obrońcy wiary”) i ruchy dżihadystów. Dyskursowi,

dającemu się słyszeć szczególnie z Quai d'Orsay, o nadejściu groźnego „Sahelistanu” towarzyszyła bowiem nieprzerwana krytyka Algierii, oskarżanej o niedopełnienie swojej roli jako „regionalnego mocarstwa” i postawę „dwuznaczności”, a nawet „sympatyzowanie z terroryzmem” [1].

Naciski na rzecz bezpośredniego zaangażowania ich kraju w konflikt malijski budzą niechęć wielu Algierczyków. Opinia publiczna jest zaniepokojona – dobrze pamięta brzemienny w skutki dla granic państwa precedens libijski: interwencja wojskowa sił Paktu Północnoatlantyckiego (NATO) spowodowała szok. Nic więc dziwnego, że wiele wpływowych osobistości – zarówno w rządzie, jak i w armii – odrzuca pomysł militarnego zaangażowania. Taki scenariusz, podkreśla jeden z dyplomatów, „zrodziłby nierozzerwalny związek” między tuareskimi rebeliantami a „islamo-bandytami”. Wówczas konflikt mógłby się przenieść do Algierii. W ostatnich miesiącach, jeszcze przed uderzeniem na rafinerię In Amenas, przypisywane grupom islamistów ataki na wielkim Południu wydawały się potwierdzać istnienie sieci terrorystycznych gotowych do działania.

Skupienie uwagi mediów i dyplomacji na algierskiej armii budzi czasem pełne goryczy komentarze kpiące z „fałszywie przyjaznych nacisków” (Le Quotidien d'Oran, 4 lipca 2012 r.). Zdaniem Mohameda Shafika Mesbaha, byłego oficera tajnych służb algierskich, mocarstwa zachodnie szukają przede wszystkim jak najtańszych podwykonawców: „chcą operacji wojskowej, prowadzonej w ich imieniu przez Algierię i innych partnerów afrykańskich”. I o ile, jak odnotowują prominenci, Stany Zjednoczone mają, ogólnie rzecz biorąc, podejście bardziej zróżnicowane, o tyle Francja reprezentuje stanowisko pełne ukrytych intencji i tym samym niebezpieczne: „Trzeba być naprawdę naiwnym, aby sobie wyobrazić, że Algieria zgodzi się beztrząsco grać rolę pomocnika na rzecz strategicznych interesów francuskich w Afryce” – mówi Mesbah (L'Expression, Algier, 15 lipca 2012).

Były wojskowy, a obecnie profesor politologii Ahmed Adimi,

wprost oskarża Paryż o popychanie algierskiej armii w malijskie „grzęzawisko” i chęć przeistoczenia kraju w coś w rodzaju afrykańskiego Pakistanu [2]. Bendjana Benaoumeur, inny emerytowany wojskowy, obawia się „niezwykle niebezpiecznej niestabilności na długi czas, z „somalizacją” Mali i „afganizacją” całego podregionu” (El Watan, 4 sierpnia 2012).

Powtarzającym się we Francji i w Mali insynuacjom, dotyczącym roli Algierii w Sahelu jako „manipulatora” lub „dwuznacznika”, niektóre media odpowiadają oskarżeniem symetrycznym: najnowsze grupy dżihadystów Sahelu – Ruch na Rzecz Jedności i Dżihadu w Afryce Zachodniej (MUJAO) – które początkowo za cel swoich akcji wzięły sobie tylko i wyłącznie Algierię, zostały utworzone przez służby specjalne Maroka lub Kataru (L'Expression, 3 września 2012).

Zapytany o rolę, jaką odgrywa za kulisami algierski Departament Wywiadu i Bezpieczeństwa (DRS), algierski ekspert odpowiada: „Gdyby tylko to była prawda! Moglibyśmy wtedy uniknąć fiaska w Gao!”. W rzeczy samej, dla Algierii obecny kryzys w północnym Mali rozpoczął się 5 kwietnia 2012 r. porwaniem Boualema Siasa, Konsula Algierii w Gao, oraz 6 jego współpracowników. Prasa ogłosiła wówczas porażkę władz, które jakoby dokonały „błędnej interpretacji sytuacji w Azawadzie” (Le Quotidien d'Oran, 8 kwietnia 2012).

Algieria, która często odgrywała rolę pośrednika między Tuaregami a władzami w Bamako, z pewnością ma duże wpływy w regionie. Jednak, i jest to oczywiste, informacje, jakimi dysponuje, są niepewnej jakości. Siła Narodowego Ruchu Wyzwolenia Azawadu (MNLA) została przeceniona: ugrupowanie to, kierowane przez ludzi dobrze znanych algierskim decydom, dysponuje bardzo dobrym medialnym know-how ale pokazało swoją niespójność w terenie. Świadkowie potwierdzają, że elementy MNLA, mające zapewnić ochronę Konsulatu Algierii w Gao, nie stawiały żadnego oporu napastnikom MUJAO. Bezsilność MNLA została przypieczętowana jego klęską w starciu z islamistami pod koniec czerwca 2012 r. w Gao. Kilka dni później, po

ultimatum Ansar Al-Dine, ruch niepodległościowy oddał też Timbuktu. „Dżihadysty panami Północy” – ogłosił 30 czerwca 2012 r. Le Quotidien d’Oran, jednocześnie odnotowując, że ta supremacja może posłużyć jako argument na rzecz obcej interwencji.

Wszelkie działania podjęte przez władze algierskie, by uwolnić zakładników przetrzymywanych przez MUJAO, a zwłaszcza zapobiec interwencji z zewnątrz, skupiły się zatem na odłamach tuareskich rebeliantów: MNLA (mimo jego osłabienia), ale szczególnie na Ansar al-Dine i jego liderze Iyadzie Ag Ghaly, który długo żył w Tamanrasset na południowych kresach Algierii, zanim został mianowany konsulem Mali w Dżiddzie (Arabia Saudyjska) w wyniku nadzorowanego przez Algierię porozumienia między Bamako a Tuaregami.

W ramach wyścigu z projektem interwencji wojskowej, bronionym przez Paryż i wspieranym przez kraje Afryki Zachodniej, Algieria rzuciła na szalę cały swój potencjał, aby zerwać sojusz pomiędzy Ansar al-Dine i grupami dżihadystów. Zadanie okazało się bardzo delikatne, szczególnie dlatego, że grupa ta, poprzez udział w niszczeniu mauzoleów w Timbuktu, wykazywała oznaki radykalizacji. Lider Ansar al-Dine, postawiony przed dylematem, długo lawirował. W końcu ton Algieru stał się zniecierpliwiony i groźny: „Mówimy im w sposób jak najbardziej zdeterminowany, że teraz mają wielką szansę, aby odciąć się od terrorystów. To liderzy tego ruchu muszą szybko zdecydować, czy chcą pozostać częścią problemu, czy też stać się częścią rozwiązania” (El Watan, 7 listopada 2012).

Presja okazała się skuteczna, choć trudno już teraz oceniać podziały w łonie Ansar al-Dine, które spowodowałyby zerwanie z Al-Kaidą w Islamskim Maghrebie (AKMI). Dla Algieru jednak sprawa jest jasna: algierski minister spraw wewnętrznych Daho Ould Kablia wyjaśnia, że algierscy Tuaregowie, mający silne powiązania z tymi w północnym Mali, bardzo prawdopodobnie mogą zostać zaangażowani w konflikt (Le Soir d’Algerie, 8 listopada

2012).

Faktem jest, że oficjalne przemilczenia i wątpliwości ujawniają poważny brak politycznego wsparcia dla tego tak czułego pogranicza, znajdującego się w niezwykle delikatnej sytuacji. Abdelaziz Rahabi, były ambasador Algierii, wyraża ubolewanie: „W ostatnich latach włożyliśmy dużo energii w rozwiązanie kwestii Sudanu, mimo że wynik był dla wszystkich oczywisty i nieunikniony. Tak samo jak i w NEPAD (Nowe Partnerstwo dla Rozwoju Afryki), po to tylko, by na kilka lat uzyskać tylne siedzenie w G8... No i całkowicie zignorowaliśmy region Sahelu, do którego ani razu nie zajrzał z oficjalną wizytą żaden szef państwa czy choćby jego minister spraw zagranicznych. Teraz zaś nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przygotować się na likwidację skutków ubocznych tego kryzysu” (El Watan, 11 października 2012).

Autor: Lakhdar Benchiba

Tłumaczenie: Halina Chehab

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPISY

[1] [adimiahmed.over-blog.com](#), 14 października 2012.

[2] [adimiahmed.over-blog.com](#), 14 października 2012.